ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. Maja N[er] 20. Roku 1842.

TESTAMENT.

(Dokończenie.)

Ostatnia plotka nie była bez zasady. W istocie Jan zajął się miłością i szczérze zamyślał o małżeństwie z panienką ładną, uczciwą, dobrze wychowaną, córką ludzi godnych, ale nie bogatych. Ojciec jéj pan Łęcki nie był czynszowym szlachcicem, ale miał za wojskowe zasługi dane sobie od króla sołtystwo. Straciwszy nadzieję odziedziczenia po stryju, nie mógł Jan sięgać po partyję bogatą, a choćby mógł, przedawać się bez przywiązania nie chciał. Było jego szczérą chęcią zasięgnąć wprzód rady i odebrać błogosławieństwo stryja, ale jak widzieliśmy, do rozmowy go nie dopuszczono; a gdy późniéj w liście prosił o oboje, odpisano mu, że stryj się gniewa i wiedzieć o tém nic nie chce, stryjowi zaś starano się wystawić ten zamysł jako ujmę dla imienia Dzierzyców, jako zgubne Jana zaślepienie, i przekładać poczęto, że dla własnego dobra synowca, dla wstrzymania go od szalonego ożenienia, powinien wydziedziczeniem w testamencie odjąć mu wszelką nadzieję spadku, bez któréj i ta panna pewno za niego nie pójdzie. Nalégania o testament były już dawne, wstrzymywane tylko niezgodą między nalégającémi, gdy Chorążyna rada była ogarnąć wszystko dla Kundzi, a każde z rodzeństwa chciało coś także skorzystać. Blizkie teraz niebezpieczeństwo, aby się stryj przywiązaniem do synowca nie uniósł i wspólna do ostatniego niechęć, pogodziła zwaśnionych. Jednogłośnie póty dokuczali choremu, aż umęczony ich prośbami, może aby sobie kupić spokojność, prosił pana Grzegorza o napisanie mu kopii testamentu. Kopija ta była w gronie familijném po za pokojem Chorążego, długo rozbiérana. O każdy punkt się spiérano, pisano i mazano. Były wymówki nieczułości i samolubstwa z jednéj, niewdzięczności i łakomstwa z drugiéj strony, wywoływano na plac dawno zapomniane urazy, zrywano tysiąc razy i znowu tyleż razy rozpoczynano układy, które byłyby spełzły na niczém, gdyby nie słabość większa, w którą popadłszy Chorąży, zdawał się blizkim śmierci. Obawa, aby nie zszedł bez testamentu, przywiodła w jednéj chwili do skutku układ średni, na pozór dogadzający wszystkim, w istocie nikomu, i ten rano podano Chorążemu, który zaraz kazał się dźwignąć z pościeli, obetkać w krześle poduszkami i podać sobie stolik do pisania. Chciano sprowadzić świadków, aby się sam pisaniem nie trudził, wolał sam pisać, więc mu się nie śmiano sprzeciwiać. Żeby mu nie przeszkadzać, a raczéj żeby mogli potém zapewniać, że przy pisaniu nie byli, odeszli wszyscy z pokoju, ale przez szparę we drzwiach często zaglądali. Widzieli, że pisał Chorąży, przepisywał wiernie, bo nie przerywając i nie namyślając się, to podnosił głowę do przeczytania kilku słów, to ją spuszczał do wylania ich na papier. Na wiérszu, z którego czytał, kładł scyzoryk, i ten coraz niżéj posuwał. Ale się umęczył siedzeniem i nie dokończywszy ponieść się kazał do łóżka. Papiér został na stole, żona i Łozowie często się koło niego przechodząc i niby od niechcenia okiem nań rzucając, mogli się przekonać, że przepisywał dosłownie nic nie zmieniając ani opuszczając. Nazajutrz wstał znowu i wziął się do pisania. Widziano z-za drzwi, że

pisał, a napisawszy, opieczętował i kazawszy się w łóżku położyć, testament wetknął pod poduszkę. Żył jeszcze potém trzy lata, ciągle leżąc i ciągle mając pod poduszką testament, a jeźli niekiedy dla przesłania albo odświéżenia bielizny dawał się podnosić, zawsze go brał do ręki i wracając do pościeli składał na dawne miejsce. Takiém postępowaniem zaspokojoną widziała się rodzina Łozów co do spadku, jednak przypuszczając zawsze możność odwołania, ani przestała prześladować Jana, ani wzbraniać mu przystępu do stryja, ani znosić nań plotki i potwarze. Postarano się zaraz po napisaniu testamentu, aby treść jego doszła do wiadomości Jana i Łęckich — ale ci nie liczyli na spadek po stryju. Jan z tém co posiadał, przy swojéj rządności i pracy był partyją dobrą dla ich córki nie posażnéj, a osobiste jego przymioty, zjednały mu były przychylność całéj rodziny. Wiadomość więc o testamencie nie przerwała obustronnych przygotowań do wesela. Łęccy mieszkali w innéin województwie; zgodnie z ich życzeniem, aby mieć córkę blizko siebie i w chęci pomagania podeszłemu ojcu, w chęci pokazania Łozóm, że się stryjowi narzucać nie chce, przeniósł się Jan na inną dzierżawę w blizkości narzeczonéj, a nié mając na kogo się spuszczać, pragnąc przyszłéj żonie zapewnić dobre utrzymanie, oddał się gospodarstwu jeszcze gorliwiéj. Rzadziéj więc jeszcze mógł odwidzać stryja, a za każdą bytnością proszono go naprzód, aby o swojém blizkiém ożenieniu nic mu nie wspominał; jeźli ten zakaz przekroczył, łajano go w obec stryja, w jego imieniu — gdy się chciał usprawiedliwiać, głos podnoszono, i zawsze w końcu stryj prosił, aby przy nim nie zwodzono sporów, a Jan przez uległość dla stryja piérwszy zamilkał.

Panna Kunegunda płakała po dniach i nocach, chorowała na serce, utrzymywała, że kocha Jana, że za innego nie pójdzie. Trzeba było użyć ostatnich środków przeszkodzenia jego małżeństwu z Łęcką. Listy bezimienne, oczérniające Jana, nie znalazły wiary ani skutku. Jeden taki list pan Łęcki odesłał pod adresem pana Jacka z dopisem: »Domyślam się z jakich rąk pochodzi, i w te szanowne ręce go zwracam.« — Po długich i trudnych naradach familijnych, pod pozorem poznania dalekich krewnych, wysłanym został Pawlunio w okolicę, aby pannę odkochać. Mujstrowano go wprzód, układano, nauczano, dano mu obszérną instrukcyję na pismie, jak się ma zachować, i oporządzono na drogę jak panicza. Udało się przez trzecie osoby namówić sąsiada, aby zyskawszy pozwolenie zapolowania w łęgu Łęckiego, wraz z gronem myśliwców wstąpił doń na śniadanie. Pawlunio był w tém gronie, ale zastał Jana, a jego widokiem strwożony, ani śmiał zbliżyć się ani przemówić do panny. Uznając niezgrabność Pawlunia, wysłano sprawniejszego Euzebcia. Ten umiał wkręcić się w dóm państwa Łęckich, korzystał z niebytności Jana, począł stroić koperczaki do panny, wzdychać i prawić jéj pochlebstwa. Panna śmiała się z niego i z jego oświadczeń. W tydzień potém Jan był ożeniony. Doniósł stryjowi prosząc aby pozwolił przedstawić sobie żonę — odpisano mu bez zapytania stryja, że może to uczynić, jeźli chce prędzéj go dobić. Odtąd listy jego nie odpieczętowane wracały, i on téż nie śmiał przyjeżdzać w dóm, gdzie tak źle bywał przyjętym. Ta jedna przykrość, że go od serca stryja odpychano, zachmurzała pogodę, która przyświécała jego pożyciu. Żona łagodna, przywiązana, gospodarna, zajmowała się porządkiem domu, on pilnował roli, pracował i Bóg mu błogosławił, pola rodziły obficie, mnożył się dobytek w gumnie, w oborze i w pasiece, grady, powodzie, pomory go mijały. Po roku synek w dóm zawitał i jeszcze więcéj doń wniósł szczęścia i pociechy.

Usłyszawszy o testamencie pan Jagoda, wdowiec nie młody, rozwiązłego życia, stratny a łakomy, począł uczęszczać w dóm Chorążego i starać się o rękę panny Kunegundy. Z jéj strony żadnéj nie doznał trudności, chociaż rodzina była tego zdania, iż lepiéjby jeszcze poczekać, czy się kto lepszy nie trafi. Wpół chętnie czyniła Chorążyna przygotowania do wyprawy i zapomniano już o Janie, gdy ten jednego poranku odebrał umyślnego posłańca od proboszcza z uwiadomieniem, że stryj tyloletnią niemocą znękany dogorywa, a przy odbyciu ostatniéj chrześcijańskiéj powinności, prosił

proboszcza, aby jak najspieszniéj przyzwał Jana. Wsiadł natychmiast i gonił dniem i nocą, ale przybył za późno. Ciało stryja zastał złożone na marach, i jeszcze musiał znieść od niewiast wyrzuty, że mu śmierci przyspieszył. Mężczyźni unikali z nim spotkania, bo już nie było tego, przy którym ón gniéw swój umiał powściągać.

Pogrzeb odbył się kwaśno. Wiedziano, że się zjedzie wiele gości, bo Chorąży był jednym z wyższych urzędników w powiecie, jeden z najmajętniejszych posessyjonatów, i miał niegdyś w obywatelstwie zasługi. Sprawiono mu więc pogrzeb okazały, obito trunnę aksamitem i galonami i postawiono ją na szérokim wozie o kilku stopniach, okrytym aż do dołu czarném suknem, i ciągnionym sześćma końmi w czarnych oponach. Wiele sług ubrano czarno, zaproszono wielu duchownych świeckich i zakonnych i rozdano wiele pochodni i świéc jarzących. Jeszcze wtedy obyczaje nie pozwalały blizkim krewnym i powinowatym pod pozorem rozczulenia i słabości uwalniać się od oddania czci zmarłemu. Chorążyna w grubéj żałobie postępując za karawanem, pod opuszczoną zasłoną, trzymała chustkę przy oczach. Więcéj posłużyło pannie Kunegundzie do udawania żalu, zwykłe jéj drganie serca. Jagoda prowadził ją pod rękę i ciągle szeptał o swoich gorących affektach. Reszta rodziny Łozów szła obojętnie rozmawiając z gośćmi i między sobą. Pawlunio i Euzebcio rozprawiali o koniach i polowaniu, mrugali na przybyłe ze wsi dziewczęta. Słudzy już nie trzéźwi, kłócili się o większe świéce i spiérali o miejsce. Chłopi cisnęli się, aby patrzéć na widowisko. Niektórzy starsi wspominali nieboszczyka. »Cóż z tego«, mówili, »że był dobry? kiedy o nas niedbał, i w takie nas ręce oddawał. A co teraz z nami będzie!« — Na jednego Jana twarzy można było postrzegać żal szczéry, serdeczny, choć męzka zrzenica dopiéro przy spuszczaniu ciała do rodzinnego grobu łzą zabłysła.

Prosto z cmętarza chciał odjechać do domu, ale przybyły na pospieszne Łozów wezwanie subdelegat sądu ziemskiego do otworzenia testamentu, zatrzymał go jako jedynego z rodziny nieboszczyka. Musiał więc jeszcze wytrzymać mękę długiéj i tłumnéj stypy. Obok zamkniętego pokoju, w którym Chorąży długo ciérpiał i niedawno skonał, w sali, gdzie zwłoki jego przed kilkoma godzinami były wystawione, po wyniesieniu katafalku, świeczników i zdjęciu ze ścian czarnego obicia, zastawiono stoły, a zgraja w połowie siedząc, w połowie cisnąc się po za siedzącymi, niepomna powodu swego zebrania się, wśród gwarnéj rozmowy, wśród wiwatów i śmiéchu, wśród żartów nawet z nieboszczyka, napełniała wrzawą i zgiełkiem dóm osiérocony z gospodarza. Wiele nagotowano i napieczono jedzenia, wiele postawiono wódek, wina i miodu; a przecie tłuszcza łakoma rozrywała wnoszone do pokoju półmiski, tak, że się prawie nic niedostawało znakomitszym gościom, u poważnego końca stołu siedzącym. Ciżba i niezgrabność służby napiłéj, powiększała jeszcze nieład, tłukły się półmiski, talérze i butelki, rozléwały po stole i sukniach sosy, całe pieczenie psy rozciągały pod stołem. Między tym tłumem jeden Jan smutny rozmawiał po cichu z proboszczem, który mu opowiadał ostatnie chwili stryja i opisywał cierpienia poddanych pod rządem Szarobrockiego i Łozów.

Nazajutrz koło południa, kiedy się zgraja rozjechała a osoby pozostałe należycie się wywczasowały po przeciągnionéj w późną noc stypie, subdelegat zebrawszy rodzinę i kilku poważnych sąsiadów, otworzył pokój zmarłego. Chorążyna trzymając zawsze chustkę przy oczach, wyjęła z pod poduszki na nieprzesłaném jeszcze łożu testament i subdelegatowi wręczyła, który obejrzawszy pieczęć, rozciął ostrożnie bez jéj naruszenia wierzchni papiér i rozłożył testament. Wniesiono krzesła, usiedli wszyscy naprzeciw subdelegata, który wdziawszy okulary chciał czytać, ale pismo odwykłéj ręki nie było dla jego wzroku czytelném, podał je więc panu Grzegorzowi, który stojąc na środku, odkrząknąwszy, zaczął od perory: »Nieznaną nam jest ostatnia wola nieodżałowanego, a świeżo sercom naszym z nieprzejrzanych wyroków bożych wydartego przez nieubłaganą śmierć, *dira et inexorabilis mors*, małżonka, szwagra, stryja, pana i dobrodzieja wszystkich tu nas przytomnych nieznaną mówię, bo własną ręką ją pisał„

sam opieczętował i przy sobie przechowywał, a nikt z nas jéj spisaniu i opieczętowaniu obecnym nie był. Ale jakkolwiek majątkiem swoim rozporządził, przez cześć i miłość, jakąśmy mieli dla niego, przez wdzięczność, którą do grobu z sobą poniesiemy, przyjąć ją powinniśmy z uszanowaniem, bez szemrania, bez urazy, choćby czyje nadzieje i oczekiwania znalazły się zawiedzionémi. *Spes alit et fallit.*« — »Na co te przemowy i urągania«, przerwał mu żywo Jan Dzierzyc, »wmpan wiesz dobrze co ten testament zawiéra. Ale jego był ten majątek, jemu wolno było nim zarządzić. Nié ma tu takiego, coby jego woli szanować nie umiał.« Tak niespodzianie zagadniony pan Grzegorz zaciął się i zapomniał ułożonéj przemowy, odetchnął potém głęboko i odkrząknąwszy na nowo, zaczął czytać.

Po zwykłym w owe czasy wstępie, w którym testator tłumaczy się, dla czego rozumié, że jak drugim ludziom tak i jemu przyjdzie kiedyś umrzeć, po zapewnieniu, że pisał przy zdrowym umyśle, rozmyślnie i dobrowolnie, od nikogo nie namawiany ani nalégany, po protestacyjach prawowierności i uznania siebie za wielkiego przed Bogiem grzésznika, po dziękczynieniach dla nieporównanéj małżonki, która trzydzieści lat z górą jak niebo pogodne jego dniom przyświécała, po oświadczeniach wdzięczności dla jéj braci i siostr, którzy go w chorobie pielęgnowali, zastępowali, najczulszémi staraniami otoczyli, same cierpienia miłém obcowaniem swojém uprzyjemniać mu umieli, po gorźkiém nakoniec użaleniu się na synowca, jedynego swego krewnego, którego z biédy wyciągnął, z dzieciństwa wraz z żoną swoją po rodzicielsku wychował, do szkół swoim kosztem posyłał i żywił, do wojska idącego opatrzył i oporządził, a który mu potém życie zatruł, następowało rozrządzenie majątkiem w tych słowach:

»Najukochańszéj żonie mojéj zapisuję na całym moim majątku dożywocie, z którego kalkulacyi zdawać nikomu nie będzie. Po jéj zgonie zaś, daj Boże najpóźniejszym, majątek mój podzieli się na trzy części równe, z których jednę otrzyma wychowana przez nas i dziecinném przywiązaniem nasze starania odpłacająca, nasza siostrzenica panna Kunegunda Machowska — drugą licznem pobłogosławiona potomstwem siostra nasza pani Agata Szarobrocka, która z godnym małżonkiem rządy prowadząc przez lat kilka w moim majątku, pracowali oboje na nas, i opatrywali nasze potrzeby lepiéj jak ja wprzód sam opatrywać mógłem. Odradzający się zaś w dwóch synach, młodzieńcach najpiękniejszych nadziei, pan Adam Łoza, brat mojéj żony, który rozległą nauką i erudycyją, jenijuszem i biegłością pióra w mowie wiązanéj i nie wiązanéj, wysoce podniósł dawne zacnego domu swojego zaszczyty, podzieli się trzecią częścią z bratem swoim starszym panem Grzegorzem, mężem w usługach ojczyzny posiwiałym, którego, choć był *sago togaque clarus, per injurias temporum* zasłużone nagrody i zaszczyty pominęły. (Te ostatnie słowa, jako zawiérające własną pochwałę, ciszéj pan Grzegorz wymawiał, łzy ociérając, a potém znowu dobitniéj wygłaszał): niewdzięcznego zaś synowca mojego Jana Dzierzyca wydziedzi — —« Tu gdy przewracał kartę pan Grzegorz, oniemiał, oczy mu w słup stanęły, papiér wypadł z ręki. Usłużny Euzebcio przyskoczył mu go podać — wszyscy postrzegli, że testament — nie podpisany.—

»A więc *ab intestato* zszedł z tego świata ś. p. Chorąży«, rzekł subdelegat i wraz z przytomnymi sąsiadami obrócił się w powinszowaniach do Jana, jako jedynego dziedzica. — »Oto się zapomniał staruszek przy końcu«, — uważał jeden z sąsiadów — »O nie«, odparł drugi, »to figlarny był staruszek. Unudzony ich naléganiem, aby im wszystko zapisał, chcąc się od natarczywości zasłonić, udał, że robi co chcieli, i tak ich wszystkich oszukał.« — Płacz kobiét w téj chwili był nieudany. Panna Kunegunda zasłabła na serce — wyniesiono ją do trzéźwienia na salę — wołano Jagodę — już Jagody nie było. Pawlunio: »Cóż Euzebciu? Twoja piosneczka: *Budem panowaty*...., — podobno teraz do nas się zastósuje.«

Pan Jacek: »Płocha młodzież, jeszcze się śmieje! — a ja nie będę miał nawet na druk moich supplementów i Nowéj Aleksandryi.«

SIÉROTA.

PIOSNKA GMINNA.

Przy miasteczku
Na wzgóreczku
Murowany słup;
Gdzie drożyna
Wiedzie bokiem,
Szła dziéwczyna
Szybkim krokiem
Na swéj matki grób!

Tu kochana
Leży mama,
To jest mamy krzyż!
Dniem i nocą
Tu się kryjesz,
Mamo po co
W ziemi żyjesz
Czemu w ziemi spisz?...

Ty tu leżysz
I nic nie wiész,
Tatko nie jest sam;
Kiedy wstaniesz
Z grobu twego,
To zastaniesz
Coś nowego,
Drugą mamę mam!

Ty tu w grobie
Leżysz sobie,
Opuściłaś mnie;
Druga mama
Łaje, bije,
Tylko sama
Z tatem żyje,
Bóg najlepiéj wié!

Ja tu płaczę
Po twéj stracie,
Ronię strumień łez,
Tobie wszakże
Dobrze w grobie;
Połóż także
Mnie przy sobie,
Weź mnie mamo, weź!

Z każdą wiosną
Kwiatki rosną,
Barwią mamy grób,
Na twój krzyżyk
Słónko świéci,
Nuci czyżyk
Gdy przyleci,
Zrób mi miejsce, zrób!

Wtém ściemniało
I zagrzmiało
A wiatr zadął mgłą,
Słońce poszło
Po za chmurę,
Dziéwczę wzniosło
Oczy w górę
I do domu szło!

A. Obniski.

O dzisiejszéj krytyce rossyjskiéj.

(*Dokończenie.*)

W jednym z naszych pism czasowych uraczono nas nieforemnémi ułamkami heglowskiéj filozofii, i to jeszcze w języku, jakiego zapewne sam wydawca nie rozumiał. Zapaleni żądzą wytępiania wszystkiego, cokolwiek tylko dawne, uniesieni swoją bałamutną teoryją, a czujący przecie, że im koniecznie jakiéjś powagi trzeba, wzięli sobie ci panowie Szekspira za hasło boju; potworzyli własne malutkie ideałki, i zamiast argumentować, jęli wrzeszczyć i łajać.

Drugi dziennik stanął właśnie naprzeciw. Wyznał on z góry, że wszystka dawniejsza filozofija i wszystko, co tylko duch ludzki wymyślił i wykonał do dziś, jest niedorzecznością, i wynalazł pewną filozofiję natchnienia, która wyrzékając na światowe zepsucie rodu ludzkiego, woła wiecznie na Rossyjan, by Rossyjanami zostali — jak gdybyśmy nie mogli być przytém i członkami wielkiéj rodziny ludzkości. W téj zapalczywéj gorliwości wymyślił nawet redaktor osobny rossyjski język i stósownie do swojéj teoryi — nie może z dobrego serca znaleźć najmniejszéj przyjemności w parodyi Odyssei. Za to zaś postrzega w pewnéj teoryi ciepła i zimna, która śmiéchu nie warta, odsłonienie wszystkich wielkich tajni natury.

Dziennik trzeci obrał sobie niejako pośrednią między oboma poprzedniczemi drogę. Cały rok się nadymał, jakby z tąd coś stanowczego wyniknąć miało. Zaczął od doniesienia, że już cały zachód ze swoją sztuką i filozofiją zamarł i gnije, a cały rok przecie karmił swych czytelników okruszynami téj pogrzebowéj stypy. Krytyczne jego rozprawy przypominają prelekcyje młodych magistrów, którzy biorąc swoją studencką dysertacyję do ręki, wyłażą na katedrę i zaczynają: »Moi panowie! będziemy oto przedłożone tu pismo podług najwznioślejszych prawideł teoryi i umiejętności rotrząsać — ale dopiéro przyszłą razą; dzisiaj.... proszę darować.« Poczém pan magister się kłania, złazi uroczyście z katedry, a zgromadzenie się rozwiązuje.

Miała jeszcze i pewna czwarta krytyczna instancyja swój dziennik. Redaktor tego dziennika oświadczył już od dawna, że nie wierzy w żadną teoryję, nie przypuszcza żadnych prawideł w sztuce, i nie widzi nic innego w umiejętności jak tylko agregat experymentów, odnawiający się z każdém nowém odkryciem; oświadczył, że ludzki duch jak wywiórka; kręci się ustawicznie w kółko i dostaje za ten żmudny obrót orzeszek — *żarcik*. Odpowiednio tym zasadom drwi i żartuje sobie czcigodny wydawca od wielu lat z wszystkiego, a jeżli kiedy *serio* udaje, to mu nie wierzcie; — to tylko nowa mistifikacyja, z któréj on się sam niebawem śmiać będzie.

Nie myślę tu bynajmniéj potępiać rossyjskich krytyków. Jestem mocno przekonany, że mają poczciwe chęci. Nie wymieniam też nikogo, bo chcę mówić o rzeczy nie o osobach. Zdania ich wystawiają widoczne ślady ostatnich lat dwudziestu; we wszystkich odbija się tylko teraźniejsza zachodnia Europa. Tak samo rozumują w Anglii niedojrzali uczniowie filozofii niemieckiéj; tak samo wymyśla we Francyi jaki maleńki Abbé, swoją filozofiją natchnienia; tak samo usiłują zachodni krytycy rozwiązać samowładnie problemata teoryi i toczą skałę Sisifa; tak wreszcie zamierzyli inni naśmiéwać się ze wszystkiego i przebiérają się wnet za *figarów*, wnet podlatują i brzęczą jako *osy* lub *bąki*. Dajmy im wszystkim pokój! Niech każdy robi co mu się podoba. Co do nas, chcielibyśmy tu tylko dać poznać, jaką podstawę życzymy dzisiejszéj krytyce.

Najsamprzód zapowiadamy otwarcie, że ani myślimy otworzyć jakiś ideał krytyki; bo taki można sobie jedynie wyobrazić; urzeczywistnienie jego nie dano nikomu z ludzi. Podług naszego zaś, na doświadczeniu i historycznym spoglądzie, opartego przekonania, zależy zadanie krytyki w każdym okresie na tém, aby świéżo uzyskane pojęcia połączyć z dawniéj już znajomémi. Najtrudniejsza rzecz przy tém, wyrzéc się bezstronnie wszelkich obecnych przesądów i namiętności, które człowieka ciągle z sobą unoszą.

We wszystkich literackich zdarzeniach ostatnich dwudziestu lat, widać przejście literatury z jednego stanu w drugi; z dawnego w nowy. Ludzkość postępuje naprzód; osiągłszy zaś znaczny stopień swojego rozwinienia, przychodzi jéj nagle na myśl, że już nie może pójść daléj. Chce zatém stanąć i nacieszyć się swém zwycięztwem. Zapomina jednak o tém, że właśnie przez takie ociąganie dostaje się w tym rwistszy prąd, który ją ku jéj niepowiadomo szukanemu celu porywa. W historyi politycznéj są takie przechody wyraźnie oznaczone; równie jasno będą one i w historyi ducha, wiedzy i literatury poznane. Świat starożytnéj klasyczności zamknął się w Rzymie. Po téj nastąpiła scholastyka, a ta przeszła w naszą nowożytną klasyczność. Otóż i ta uległa już rewolucyi, którą niesłusznie romantyczną nazwano. Każdéj rewolucyi towarzyszą roje wyrostków i rozpasanych namiętności; trupami swoich idejów spładnia każda ów cmentarz, który się zowie umiejętnością. Czas nasz dzisiejszy jest przejściem z burz romantycznych wstrząśnień w nową porę pokoju, w porę odbudowania dawnych idejów. Nasi potomkowie dożyją znowu czasów swéj klasyczności, a potomkowie naszych potomków obalą znowu budowę swych poprzedników — takie życie człowieka, takie życie ducha ludzkiego.

Mówiąc jednak o odbudowaniu dawniejszych wyobrażeń, rozumiemy pod tém wyobrażenia ludzkości, a nie wyobrażenia klasyczne, scholastyczne lub romantyczne. Przekonajmyż się raz o nieśmiertelném życiu ludzkości! Przekonajmy się o tém, że wszystkie narody jéj członkami, wszystkie czasy różnémi porami jéj wzrastania; że nigdy jeszcze człowiek ani coś stanowczego, bezwarunkowo i nazawsze stałego, ani nic bezwarunkowo nieważnego nie stworzył, i że wszystko cokolwiek kiedy wielbił, tryskało z jakiegoś czystszego źródła i w końcu historyją, — albo co jest to samo — czasem i miejscowością usprawiedliwione zostało. Wyrzeknijcie się tego śmiésznego zdania, jakoby nasi przodkowie nie mieli wcale rozumu, równie jak i tego jeszcze niedorzeczniejszego jakoby pewien pojedyńczy człowiek był istotnie na to wybrany, aby nową historyję ludzkiego ducha założył. Pociesznie byłoby było, gdyby sobie jaki kapral na warcie uroił, że od niego nowa historyja się datuje; kiedy przecie sam wielki *petit caporal* był tylko głową w historyi swoich czasów.

Nie jestże zaś odbudowanie dawnych wyobrażeń nowszym klasycyzmem? Zapewne, ale o dziesięć razy lepszym od dawniejszego, klasycyzmem, który umié cenić Szekspira, oddaje szłuszność Kornelowi, zamienia filozoficzny mechanizm Kondillaka za filozoficzny eklektyzm ludzkości który zgubną bezbożność encyklopedystów boskiém światłem wiary rozprasza a badając warunków sprzymierza między wiarą a filozofiją, klasycznością i romantycznością, przenikając historycznie życie ludzkości, znachodzi wszędzie i zawsze tę samą liczbę, miarę i wagę.

Krytyka na takich zasadach zbudowana, zdaje się nam być godną tych wielkich duchowych

postępów naszych czasów, które jakby promienie słońca, przedzierają się przez ciemne chmury na niebie teraźniejszości. Taka krytyka nie nazywa filozoficzną historyję ludzkiego ducha brednią, ani się nie pokusza wystawić sama z gruntu umiejętność umiejętności. Nie bije bezwarunkowo czołem żadnemu przedmiotowi swojej czci, bądź to w poezyi, bądź w sztuce, bądź umiejętności: szanuje twory Indyjczyka Wiazy, Anglika Szekspira, wzniosłe świątynie gotyckiej architektury, olbrzymie budowy Egipcyjan, nadobne dzieła Grecyi. Mędrsza doświadczeniem, nie zdziéra żadnemu utalentowanemu współczesnikowi wawrzynów z głowy; ale tém ostrożniejsza w przyznawaniu wawrzynów. Przeczy ktoś wieńca Derzawinowi, to ona go lekkomyślnie na skronie Puszkinowe nie włoży i nie policzy go ztąd jeszcze do poetów świata, iż go nasza drobna narodowa próżność tak wysoko wynosi. Taka krytyka nie porzuca bez roztrząśnienia dawniejszych pojęć o sztuce na pośmiewisko, ale je nowszémi pojęciami uzupełnia. Taka wreszcie krytyka rozumie doskonale to słowo: Narodowość, bo wie dobrze, że każdy naród powinien zachować swoją duchową i moralną indywidualność, nie ogłaszając jednak przeto innych narodów za narody bezduszne i zamarłe.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 19. i obejmuje: 1) Kilka słów o pożywności roślin, z odniesieniem się do uprawy roli, ogrodów i lasów. (Ciąg dalszy). 2) Sposób najłatwiejszy na doświadczeniu uzasadniony, oswobodzenia stawów od trzciny, szuwarów i innych wodnych roślin. 3) O karmieniu wieprzów i ztąd pochodzących korzyści. 4) Niektóre uwagi i postrzeżenia nad fabrykacyją cukru z buraków. 5) Wiadomości czasowe.

Nakładem Franciszka Pillera i spółki wyszło zapowiedziane dawniéj dzieło w języku niemieckim pod tytułem: *Szrzeniawa's, Wortforschungslehre der polnischen Sprache. Erster Band. Lemberg* 1842., owoc pracowitych długoletnich badań nad językiem polskim. W wstępie wyraża się autor, iż celem jego było, li z polskiego narzecza, sposobu myślenia, z polskiego języka, bez względu na inne narzecza wysnuć zasady ducha języka naszego. W piérwszym tomie uczy, jak uczucia, wyobrażenia i idei, odbijają się w brzmieniach języka, i jak wynikłe zmieniają się te brzmienia, gdy zajdą modyfikacyje w uczuciach, wyobrażeniach, lub ideach. Dalszy ciąg oparty na tych zasadach ma zawiérać składnię języka, lecz, jak mówi autor, wtenczas się pojawi, gdy wysnute w piérwszym tomie zasady — uznane zostaną.

Ogół literaturę miłujących mieszkańców kraju naszego, żywą uczuł radość, iż we Lwowie wyszło dzieło tak ważne, jakim jest: *Die Wissenschaft des slavischen Mythus etc.* przez Dra Hanusza. Pan Ż. P. który o tém dziele wzmiankuje w Nr. 17. »Rozmaitości« wyraża życzenie, aby to dzieło przez przekład na którykolwiek z narzeczy sławiańskich, stało się dostępniejsze dla ogółu tego ogromnego plemienia. Tego życzenia z panem Ż. P. dzielić nie możemy, gdyż tylko przekład polski mógłby to dzieło dla kraju naszego przystępniejszym uczynić. Prawda, że wtedy inne plemiona sławiańszczyzny, musieliby się u siebie o tłumaczy starać, lecz czybyśmy nie byli w tém samem położeniu, gdyby to dzieło przełożoném zostało na narzecza moskiewskie lub serbskie, które nawet innych liter jak my w pisowni używają. Nieco ogromniejsze plemiona w Europie, germańskie i celtyjskie, cośmy także w »Rozmaitościach« wyczytali, nie dzielą zapału Sławian, z jakim ci indywidualne narodowości swoje w jedną zlać usiłują. Niemcy pewno mało się zajmują przekładem dzieła francuzkiego na narzecze angielskie lub szwedzkie, a przecie Niemcy, Anglicy i Szwedzi są pochodzenia germańskiego. Francuzi pewnie z obojętnościąby słuchali o wyszłym w Madrycie przekładzie dzieła duńskiego na hiszpańskie narzecze. Pisząc »narzecze«, muszę się stósować do mody w sławiańszczyźnie, która języki narodów choćby jak odmiennych między sobą i różniących się we wszystkich względach, narzeczami a nie językami mieć chce. Pan Ż. P. będąc tak wielkim lingwistą, posiadającym wszystkie narzecza sławiańszczyzny, niech raczy zważyć, iż my ziemianie po wsiach i zagrodach naszych mieszkający, ani sposobności ani talentu nie mieli, tak wielkim oddać się naukom; umiemy po polsku a inne narzecza sławiańskie nam są zupełnie obcémi, więc jedynie przekład polski dzieła pana Hanusza w kraju naszém prawdziwy przyniósłby pożytek. Niech pan Ż. P. daruje, iż zapału jego dla sławiańszczyzny nie dzielimy, my prości ludzie mówimy z ludem naszym: bliższa koszula ciała, bliższy nam język ojców naszych, niż innych bliższych i dalszych sąsiadów. ⊥

W jednym z numerów »Rozmaitości« znajdowało się obliczenie plemion i narodów Europę zamieszkujących. Szczególniejsza nastręcza się uwaga, iż nad témi wszystkiemi narodami (wyjąwszy w państwie papiezkiém, w którém rządzący O. S. jest — monarchą obieralnym i w rzeczach pospolitych), wszyscy panujący religii chrześcijańskiéj, należą tylko do dwóch narodów niemieckiego i francuzkiego. *A. Domy panujące niemieckie.* Dom Habsburgsko-Lotaryński, w Cesarstwie austryjackiém, w Parmie, Modenie i Toskanii. Dom Holsztein-Gottorp w Rossyi i Danii; dom Braunszweig Lüneburg, w Anglii, a następca tronu już jest po ojcu z domu Sasko-Koburgskiego. Tenże dom Sasko-Koburgski panuje w Belgii i Portugalii; dom Nassau w Holandyi, dom Bawarski w Grecyi, dom Hohenzollern w państwie pruskiem, a nad resztą krajów niemieckich panują królowie, wielcy książęta, elektor, książęta i t. d., wszyscy z familij niemieckich. Książęta familij niemieckich, mają więc w Europie przeszło 100 milijonów poddanych. *B. Domy panujące francuzkie.* Dom Burbonów panuje w Francyi, królestwie Obojga Sycylii, księztwie Lukka i w Hiszpanii, lecz łatwo może przez ożenienie niemiecka dynastyja zastąpić francuzką, wszakże dopiéro 138 lat temu, co kraje hiszpańskie i do nich należąca połowa najpiękniejsza Europy i prawie cały nowy świat, przestały zostawać pod uszczęśliwiającém berłem domu austryjackiego. Dom Sabaudzki Carignan, panuje w królestwie sardyńskiém, a król szwedzki i norwegski, jest jak wszystkim wiadomo Francuzem. Rodzinom francuzkim podlega tylko w Europie 63 milijonów mieszkańców. ⊥

Lessyng w Turcyi. Aktorowie sceny greckiéj, którzy teraz w Konstantynopolu dają sceniczne widowiska, przedstawili niedawno przełożony przez niejakiego pana Kalourgos dramat Lessynga, pod tytułem: *Natan mędrzec.* Na piérwsze przedstawienie téj sztuki dnia 26go marca, przybyli po większéj części tylko urzędnicy policyi tureckiéj. Na drugie zaś przedstawienie téj samej sztuki dnia następnego, zebrała się już bardzo licznie publiczność turecka, i byłaby jeszcze liczniejszą, gdyby więcéj Turków rozumiało po grecku. Uwaga i natężenie ich było nadzwyczajne. Jednakże rozmowa Natana z Saladynem, zdawała się im

być za śmiałą; nie mogli bowiem pojąć, aby z Wielkim Sułtanem tak otwarcie i śmiało mówić można było. Powieści o trzech pierścieniach słuchali z zachwyceniem. A to dla tego, że jest wzięta z ich dziejów i osnuta w duchu mieszkańców Wschodu. Sztukę tę przyjęto z oklaskami, w których nawet najpoważniejsi Moslemitowie udział mieli.

Lekarze i aptéki w Rossyi. Podług rocznego wykazu rossyjskiego ministeryjum spraw wewnętrznych, liczono w Rossyi 1841 roku włącznie z zabraną Polską, tylko 7,600 lékarzy, a 634 aptek.

Pisma publiczne donosiły już kilkakrotnie o nowo-wynalezionéj strzelbie perkusyjnéj, która pięć do sześciu razy, raz po raz ognia daje. Nie spominano dotychczas o dziwnych skutkach tego wynalazku, aż pokąd dłuższe doświadczenie wszelkiéj wątpliwości nie usunęło. Lecz niedawno odbyto próbę temi strzelbami i okazało się, że są tak lekkie i wygodne jak dubeltówka zwyczajna.

Zaga o Żydzie nieśmiertelnym. Zaga ta jest bardzo dawna i podług badań antykwarycznych otrzymała w Anglii około r. 1228 zupełną wiarę. W pomienionym roku przybył do Anglii pewien arcybiskup ormieński, którego w klasztorze St. Alban jeden z zakonników między innemi zapytał: azali kiedy słyszał co o sławnym Józefie, który podczas ukrzyżowania Zbawiciela miał być obecny, z nim rozmawiał i jeszcze dotąd żyje. Arcybiskup odrzekł, iż wypadek ten jest szczéra prawdą, i że zna bardzo dobrze tego człowieka, gdyż jednego dnia nawet z nim razem u stołu siedział; był on odźwiernym u pontckiego Piłata i zwał się podówczas Cortafilus. Wkrótce po śmierci Jezusa przyjął chrzest i nazwę Józefa otrzymał. »Człowiek ten«, dodał arcybiskup, »żyje zawsze, lecz po każdém stuleciu zapada w chorobę, z któréj znowu tak młody i czérstwy wychodzi, jakim był podówczas, gdy Jezusa ukrzyżowano. Miał on wtedy około lat trzydzieści i pamięta dokładnie wszystkie szczegóły, które się podczas śmierci i zmartwychwstania Chrystusa wydarzyły, równie jak i apostołów i wszystkich piérwszych Świętych, jest przytém czcigodny, i pobożny człowiek.« Tak donosi o tym Żydzie Mateusz Parys, który pod obecność pomienionego ormieńskiego arcybiskupa w klasztorze St. Alban był zakonnikiem.

Przestroga. W miasteczku König, w górach Odenwalde Wielkiego Księztwa badeńskiego, umarło dnia 5go marca jednemu z tamtejszych mieszczan dwuletnie dziecię. Oddech jego od pięciu dni stawał się coraz słabszy, a rodzice myśleli, że niemowlę na zapalenie krtani choruje. Lékarz oznajmił, że to zatkanie gardła pochodzi od obcego ciała, i chciał operacyję przedsięwziąć, na co jednak rodzice nie zezwolili. Wkrótce dziecię umarło, a przy sekcyi potwierdziło się zdanie lékarza; gdyż w kanale oddechowym znaleziono bób nabrzmiały. Wtedy dopiéro nieutuleni w żalu rodzice przypomnieli sobie, że się dziécię bobem bawiło! —

Strata poniesiona w okrętach. W przeciągu czternastu miesięcy, zacząwszy od 31. października 1840 do 31 grudnia 1841, zatonęło: 68 okrętów trzymasztowych, 47 barkowych, 130 brygów, 246 szonerów, 21 szalup i 5 statków parowych; między temi było 22 okrętów trzy-masztowych, 16 bark, 41 brygów i 15 szonerów, w ogóle 94 okrętów angielskich. Liczba ludzi, którzy w tem nieszczęściu życie utracili, wynosi 650. (W tym wykazie zawarte są tylko te okręty, o których z pewnością wiadomo, że zatonęły. Przypadki te wydarzyły się powiększéj części przy wybrzeżach Stanów Zjednoczonych.) Oprócz tych wymienionych okrętów, ilość statków, przez burze gdzieś zapędzonych, a może całkiem zaginionych 28 dochodzi.

Słynny robak. Między osobliwościami natury, znajdującémi się w Charlestou w Ameryce, jest także mały robak zwany klejnotnik. Żyje on na liściu dzikiéj winorośli, wygląda z początku jak kawałek białéj nitki i jest prawie nieruchomy. Lecz gdy zerwiesz listek i włożysz go w pokoju pod dzwon śklanny, z białéj niteczki w przeciągu dwudziestu czterech godzin zrobi się dość duża, pięknym kolorem i złotémi punktami lśniąca gąsienica. Po zupełném uformowaniu się, zaczyna ta gąsienica pełzać po śkle do góry, i zawiesiwszy się jednym końcem w górze dzwonu, zwija się w najrozmaitsze kształty, które przedstawiają doskonałe modele na złote biżuteryje, jak np. na kulce, brosze, iglice i t. p. Z tąd też robak ten swe nazwisko otrzymał.

Wychowaniec zakładu w Saint-Cyr i stare grenadyjery. Gdy Napoleon jednego dnia odbywał przegląd kilku pułków gwardyi starych grenadyjerów, kazał do nich przyłączyć się także wychowańcom zakładu Saint-Cyr, i spostrzegł między nimi jednego sierzanta, który postawą swoją bardzo się mu podobał. Miał on szczególniejszy dar wyśledzać w młodzieży przyszłych zdatnych ludzi, kazał więc przywołać do siebie małego sierzanta, i rozkazał mu, aby komenderował przed nim stojącym pułkiem grenadyjerów. Nadmienić tu wypada, że uczniowie zakładu w St. Cyr słynęli bardzo z rzadkiéj precyzyi w robieniu bronią, podczas gdy stara gwardyja bardziéj zatrudniona podbiciem świata, w dokładném właściwém wymusztrowaniu wojskowém, mniejszą wartość pokładała. Mały sierzant stanąwszy przed pułkiem, zakomenderował donośnym głosem: »Baczność! Na ramię broń!« — Obrót ten wykonano, ale nie razem. »To nie dobrze!« krzyknął sierzant: Baczność! *Morbleu!* Wszyscy wraz!« Napoleon roześmiał się; kilku starym mrukom poszła w niesmak ta musztra; sierzant zawołał znowu: »Baczność! Prezentuj broń!« Znowu nie razem. »*Sacredieu!*« krzyknął uczeń szkoły Saint-Cyr: »Uważajcie, jak się to robi: Raz, dwa!« Napoleon zaczął się śmiać na całe gardło, ale grenadyjerowie z zachmurzoném czołem na to patrzyli. Mały sierzant zakomenderował po raz trzeci i znów taż sama niedokładność w wykonaniu. »Źle!« krzyknął sierzant, »co za niezgrabność!« — Na te słowa dał się słyszeć w całym pułku ponury szmer: »Młokos, chłystek.« Napoleon usłyszawszy to, występuje, i zbliżywszy się do sierzanta z Saint-Cyr, bierze od niego karabin, staje między uczniami z Saint-Cyr a pułkiem grenadyjerów, i zaczyna sam komenderować uczniami. Szkoła, poczytując sobie za chlubę ten wypadek, wykonywa z zadziwiającą dokładnością wszystkie obroty. Po chwili gdy zły humor starych grenadyjerów ominął, wrócił do nich Napoleon, i wskazując na uczniów, rzekł: »No, dzieci, przyznać musimy, że te chłopcy niezgorzéj się spisali.« Potém zbliżywszy się do młodego sierzanta, oddał mu karabin i rzekł surowym tonem tak donośnie, że go wszyscy słyszeli: »A przecież *Mousieur,* gdyśmy byli młodzi, jeszcześmy lepiej bronią robili.« Słowo to z ust Napoleona z-elektryzowało starych grenadyjerów, a okrzyk: »*Vive l'Empereur!*« rozległ się w powietrzu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.

POŻEGNANIE,

czyli:

WIÉRSZ NA ŚMIERĆ

Stanisława Edm. Bogusiewicza Matkowskiego,

UŁOŻONY PRZEZ KOCHAJĄCĄ GO MAŁŻONKĘ

Petronellę Matkowską,

w dniu 30. Maja 1841 roku.

W tym zimnym grobie Stanisław spoczywa,
Gdzie płacząc żona i jéj dziatki miłe
Zasadza kwiaty, grób łzami obléwa
Swego małżonka ozdabia mogiłę.

Na téj zgęstwiałéj, zarosłéj krzewinie
Kochaną jego lutnię zawieszę,
Niejeden w wolnéj przyjdzie godzinie,
Uczcić cień jego to go pocieszę.

Gdy jéj zdaleka zajęczy pienie,
Wiejska się młodzież tutaj zatrzyma,
Tkliwe im powie wyobrażenie,
To wdzięk pogrzebny zwłoków pielgrzyma.

Tu nad tym grobem w téj tu ustroni
Częste go zwiédzą wierne wspomnienia,
Przechodzeń spocznie i łzę uroni
I smutne zwłokom przeszle westchnienia.

I twa małżonka co w tobie żyła
Te tu zarośla odwiédzi ciemne,
Miłość ten pomnik biały okryła
Twym cieniom zaszle modły przyjemne.

Lecz ty którego kryje garść ziemi
Ach, cóż ci ta cześć pośmiertna nada,
Ten grób z oznaki tak znikomemi,
Ta łza miłośna, która nań spada?

Lecz gdyby czyje płoche spojrzenia
Wzgardzić grobowcem twym się ośmieli,
Niech zgasną jego czułe marzenia,
Niech go wdzięk wiosny nieuweseli.

Cichy wietrzyku do twojéj fali
Grono zefirków już się niegarnie,
Niech mnie z tych ustroń wiew twój oddali,
Tu przyjaciela kryją te darnie.

Patrz i te błonie chmurzą pomroki
Noc czarną wszystko kryje żałobą
Żegnam się z wami lube mi zwłoki,
Kochany mężu, żegnam się z tobą.

Błonie gdzie życie miał wieść szczęśliwe
Po twym się wczesnym zasmucą zgonie,
Grób twój obstąpią wnuczęta tkliwe
Więczyć go będą czyste ich dłonie.

Nieraz mogiłę i te pomniki
Z łzami powita prawnuk wzruszony:
O pola! rzeknie, o wy chłodniki!
W tym zimnym grobie nasz dziad złożony.

Mąż prawy, znany współziomek ojczyzny
Dobry małżonek i ojciec najtkliwszy,
Czuły na nędzę i nieszczęsnych blizny,
Ojciec poddanych i najlitościwszy.

Tu on spoczywa, spoczywa na wieki
Proszę przechodniów westchnijcie za niego
Błaga on wszystkich żyjących opieki,
Zmówcie OJCZE NASZ też za duszę jego.

Umarł dnia 11go Maja 1841 roku, o godzinie 3éj z rana na apopleksyję nerwową, w wieku życia swego 63 latach, miesięcy 5 i dni 28; powszechnie od tych wszystkich, którzy go znali żałowany.